

Nowa Europa i władcy chaosu. Rozmowa z Renato Cristinem

Pogarda do tego co własne jest największym przemilczanym fenomenem współczesnej kultury Zachodu. Z drugiej strony zaszczepiana jest systematycznie i to w sposób naukowy do myśli europejskiej i tak już zdevastowanej przez retorykę zaprzeczania własnej tożsamości – mówi filozof Renato Cristin w wywiadzie dla portalu Actuell.com

Francisco Jose Contreras (filozof prawa, polityk): Jedną z osi kształtujących pana książkę "Władcy chaosu" jest splot oikofobii i ksenofilii. Kiedy właściwie zaczęła kiełkować u człowieka Zachodu ta pokusa, aby oczerniać samego siebie a wywyższać "obcego"?

Renato Cristin (filozof, współautor manifestu „Norymberga dla komunizmu”): Wzajemny związek między nienawiścią do samych siebie a egzaltacją wobec innych to bardzo pouczający przypadek. Pokazuje nie tylko postępujący proces degradacji tożsamości, ale także siłę ideologii anty-tożsamościowej (a zatem antyeuropejskiej, antyzachodniej), który zdołał ukryć prawdę leżącą u podstaw tego dwumianu, a nawet uciszyć przez długi czas tych, którzy chcieli i mogli zdemaskować tę gigantyczną próbę unieważnienia tożsamości. Badania naukowe obrodziły tonami dzieł na każdy temat, ale paradoksalnie, o ile mi wiadomo, nikt nie zajął się historią samopotępienia europejskiego czy rodowodem pogardy wobec siebie, którą potulnie

żywi się nowoczesność. Auto-pogarda która eksplodowała w XX wieku jest jednym z najsilniejszych motorów kultury europejskiej. Owszem, w ciągu ostatnich dziesięcioleci pojawiły się cenne, szczegółowe badania, przykładowo Pascala Brucknera, dotyczące tej tendencji samooskarżania, wciąż jednak brakuje ogólnej rekonstrukcji historycznej ze spojrzeniem krytycznym. To nie przypadek, tak się dzieje z woli panującej nam politycznej poprawności: nienawiść do samego siebie umacniać się musi jako niezbędną cechę naszej cywilizacji. Co dziwne, samooskarżanie musi zostać dobrowolnie przyjęte, musi stać się automatyzmem europejskiej psychiki, reakcją tak wyćwiczoną tak że aż nieświadomą.

Pogarda do tego co własne jest największym przemilczanym fenomenem współczesnej kultury Zachodu. Z drugiej strony zaszczepiana jest systematycznie i to w sposób naukowy do myśli europejskiej i tak już zdewastowanej przez retorykę zaprzeczania własnej tożsamości. Dlatego nikt nie rozpoznaje, że mamy do czynienia z myśleniem irracjonalnym, pogubionym, przeciwnie jest to nam sprzedawane pod postacią ksenofilli – logicznej konsekwencji naturalnego rozwoju kultury europejskiej.

Ale nie odpowiedziałem na twoje pytanie. Ta patologia ducha europejskiego ma wiele przyczyn – w tym pierwsze ruchy antyzachodnie i paleo-komunistyczne, które pojawiły się w XVI i XVII wieku, a które chciały ustanowić społeczeństwa utopijne. Chciały przecież oczyścić Europę z jej wad i miały okres swojej inkubacji jeszcze zanim w XX wieku stały się wypadkową bólu wojen światowych, procesu dekolonizacji, afirmacji komunizmu na rozległych obszarach globu, nasilającą się dechrystianizacją i utratą tradycyjnej tożsamości. Oczywiście także wzrost wywrotowych ruchów z 1968 roku, i

spadkobierców tego nowoczesnego rewolucjonizmu, dominacja kulturowa lewicy we wszystkich jej wariantach, porzucenie prymatu zachodniej myśli filozoficznej, wszystko to doprowadziło do głębokiej dezorientacji i stygmatyzacji naszej przeszłości. I wreszcie pojawiła się ta wizja antyeuropejska wielokulturowa (coś bardzo odmiennego od zdrowej międzykulturowości), która zapowiada przyszłość wyzutą z tożsamości.

Obcy stał się totemem (a także tabu) naszych czasów: można o nim mówić tylko w superlatywach. Jest nietykalny, zawsze niewinny, w końcu uciekł ze skorumpowanych społeczeństw czy to afrykańskich czy azjatyckich, bo takimi je uczynili kolonizatorzy Zachodu. W tej zniekształconej optyce przybysz jest z definicji niezawodnie dobry, a przynajmniej jest nośnikiem pozytywnych wartości, które Europejczycy powinni przyjąć i wchłonąć, aby zintegrować się z obcokrajowcami.

Ale Europejczycy zdali sobie sprawę z tego ideologicznego oszustwa i zareagowali jak mogli, czyli korzystając z tych legalnych instrumentów, które jeszcze im pozostały. Głosują, manifestują swobodnie i demokratycznie, w ten sposób wyrażają jednak ból za utratą tożsamości, którą można zrozumieć tylko poprzez kategorie ducha, a nie ekonomii. Chcą usłyszeć odpowiedź racjonalną i zorientowaną na dobro wspólne. Niestety nie można oczekiwać żadnej reakcji, a polityczna poprawność każe nawet zabronić stawiania takich pytań i wyrażania wątpliwości dlatego atakuje z góry, oskarżając wszystkich, którzy nie chcą przyjąć imigrantów. Stąd repertuar oskarżeń o urazę, zamknięcie, tradycjonalizm, ksenofobię. Na temat imigracji skumulowano tyle kłamstw, hipokryzji że powstał rodzaj czarnej legendy nakreślonej przez polityczną poprawność.

Kiedy mówisz o „Władcach chaosu”, sugerujesz, że proces

moralnej i kulturowej autonegacji oraz proces migracji dążącej do zastąpienia dawnych narodów jakimś ponadnarodowym projektem, jest zdalnie kontrolowany – lub przynajmniej wspierany – przez niektóre elity. O kogo chodzi dokładnie? Politycy? Instytucje? Media? Intelktualiści i uniwersytety?

Od momentu, gdy pozaeuropejska imigracja na naszym kontynencie daje poczucie zastąpienia etnicznego i zmiany substytucji kulturowej, można zastanawiać się, skąd pochodzi i jak realizuje się ten cel. W grudniu 2018 r. ONZ dała początek globalnemu projektowi zarządzania migracjami o nazwie „Global Compact for Migration”. Jest to ambitny plan organizacji przepływów migracyjnych, których wpływ dotyczy nie tylko struktur społecznych różnych państw, ale także spada na indywidualne sumienia ludzi. Plan, który interweniuje zarówno w dziedzinie pragmatycznej, jak i mentalnej: modyfikacja sposobu myślenia jednostek jest warunkiem koniecznym do przekształcenia składu etniczno-kulturowego społeczeństwa. Celem jest redystrybucja światowej populacji; problem, który globalny rząd ONZ zamierza rozwiązać, stosując technikę zaczerpniętą z zoologii: przenoszenie mas ludzi tam, gdzie jest więcej przestrzeni, nie w sensie geograficznym, ale w sensie społeczno-politycznym, wykorzeniając ich ze swoich ojczyzn. Porozumienie w sprawie migracji to wytrych, którym przebiegli ponadpaństwowi biurokraci próbują wysadzić granice, napędzając globalny obieg nie tylko jednostek – których wolność (w granicach prawa każdego kraju) musi oczywiście być zachowane – ale mas, ponieważ taki jest projekt „substytucji”. Granice muszą zostać przekształcone w pasażę, ponieważ – taka jest teza, błędna, ale uwodzicielska – jeśli migracja „generuje dobrobyt, innowacje i zrównoważony rozwój”, wówczas konieczne jest, aby „wszystkie narody były jednocześnie krajami pochodzenia, tranzytu i przybycia». Jest to przesłanka globalnego nomadyzmu: całkowite wykorzenienie,

zastąpienie ludów europejskich przez pół-bezpaństwowców odpowiadających starej woli (wyłonionej wraz z marksizmem i uzgodnionej z mesjanizmem katolewicy) stworzenia nowej ludzkości, która oczyszcza człowieka Zachodu z jego tradycyjnego myślenia i jego rzekomej winy historycznej.

Z ostatecznego dokumentu „Globalnego paktu na rzecz bezpiecznej, uporządkowanej i regularnej migracji” wyłania się restrykcyjny, opresyjny psychologiczny terroryzm przeciwko wszelkim pozycjom lub wypowiedziom antyemigracyjnym. Ukrywając niekwestionowany cel: „potępiaj i zwalczaj wyrażenia, czyny i demonstracje rasizmu, dyskryminacji rasowej, przemocy, ksenofobii i powiązanych form nietolerancji wobec migrantów”, ma ona wytatuować na żywym ciele ludzi pieczęć kosmopolitycznego uniwersalizmu: bez barier i bez korzeni. W stylu poprawności politycznej stosuje się prawdziwe pranie mózgu, ponieważ cel oznaczony nr 17 stwierdza: „Wyciągnąć wszystkie formy dyskryminacji i promować dyskurs oparty na empirycznej podstawie kształtowania sposobów, w jakie powinno postrzegać się migracje” Po zgiełku i protestach z grudnia 2018 r. o „Global Compact” ucichło ale pozostaje wytyczną na szczeblu dyplomatycznym. Posuwa się powoli jak walec, zgodnie z ustalonymi celami i harmonogramem. Jeśli uda się go wykonać, „Global Compact” może stać się czarną dziurą trzeciego tysiąclecia, która pochłonie duchowe, kulturowe, religijne i polityczne formy Zachodu, jakie znamy do dziś.

Czy uważasz, że oikofobia / ksenofilia jest wynikiem mutacji marksizmu, czy raczej degeneracji liberalizmu? Czy istnieje przypadkowa zbieżność neomarksistów i libertarian wokół „progresywizmu”?

Mówisz już o zdegenerowanym liberalizmie, tym przemienionym w symulakr tego czym był, a był ruchem antytotitalarnym (zatem antykomunistycznym, anty-marksistowskim), który bronił koncepcji wolności, jednocześnie chroniąc określoną przestrzeń, społeczną i narodową, w których wolność może żyć i rozprzestrzeniać się. Teraz, także ze względu na to wywyższenie odmienności, lewicowy liberalizm nie jest już wcale wiarygodny w oczach autentycznych liberałów, to znaczy tych, którzy nie przestali walczyć z antyliberalnym przeciwnikiem, którym jest socjalizm, i którzy nie przestają bronić konkretnych przestrzeni przed agresją tego wroga.

Jeśli liberalizm nie widzi, że progresywizm jest ruchem totalitarnym, to jest ślepy i wyrządza kolosalne, a może nawet nieodwracalne szkody własnej historii, własnej tożsamości. Z tych powodów należy go wstrząsnąć z zewnątrz, a już zwłaszcza od wewnątrz, ukazując mu sprzeczności w jakie popadł i wskazując sposób reaktywacji własnej oryginalnej energii. Trzeba wyjaśnić, że podążanie ścieżką progresywizmu oznacza jednocześnie przygotowanie do zniknięcia liberalizmu, którego śmierć doprowadzi również do niemożności urzeczywistnienia się jego zasad.

Liberalizm będzie miał coraz większe trudności, jeśli nie zrozumie tego, co nazywam pytaniem teleologicznym, to znaczy faktu, że istotę ludzką tworzą struktury teleologiczne, które są nie tylko celami, ale także horyzontami czasu, znaczeń, historyczności. Jeśli liberałowie nie zdadzą sobie sprawy z tego, że zasady bez celów są zwyczajnie puste i formalne, będą nadal okaleczać wolność.

(...)

Czy uważasz, że alternatywa dla oikofobiczno-ksenofilnego progresywizmu Europy Zachodniej pojawia się w krajach Europy Środkowej, takich jak Polska czy Węgry?

Tak, właśnie z tego obszaru Europy, który najbardziej ucierpiał wskutek marksistowsko-leninowskiej dyktatury, wyłania się bardzo przydatna siła do opracowania strategii, która może pokonać tę patologię: Polska, Węgry, Czechy są dziś pionierami. Dzisiaj Grupa Wyszehradzka jest symbolem sprzeciwu wobec tej Unii Europejskiej. To ona staje w obronie ducha europejskiego na rzecz żywej i historycznej Europy, przeciwko tej fasadowej, która przekształciła się w biurokratyczno-retoryczną degenerację Europy. Dlatego poza obszarem geograficznym Wyszehrad należy traktować jako standard odmiennej koncepcji Europy: kiedy euroburokraci mówią „więcej Europy”, oznaczaj to „więcej Brukseli” i mniej sumień narodowych; podczas gdy obrońcy europejskiego ducha i stylu życia mówią, że więcej Europy odnosi się do większej tożsamości każdego z jego narodów i kontynentu jako całości. Dlatego postulowałbym: „więcej Wyszehradu, a mniej Brukseli!”: Nie rozpad Europy, ale wręcz przeciwnie, jej odbudowa z najszlachetniejszych i najbardziej solidnych podstaw, jej konkretna regeneracja.

Renato Cristin – profesor filozofii Hermeneutyki na Uniwersytecie w Trieście, kierownik Instytutu Kultury Włoskiej w Berlinie i dyrektor naukowy "Fondazione Liberal". Obok Władimira Bukowskiego inicjator "Norymbergi dla Komunizmu" Jego najnowsza książka to "Władcy chaosu"

*Francisco José Contreras Peláez – hiszpański prawnik, filozof prawa,
nauczyciel akademicki i polityk, profesor Uniwersytetu w Sewilli,
deputowany w Kongresie z ramienia partii VOX*

Wywiad tłumaczyła Małgorzata Wołczyk

Tekst pierwotnie ukazał się na portalu Actual.com